

Lecz, iluż poszło z korpusem litewskim, iluż zostało oderwanych od wszystkiego, co kochali, co wielbili...

— Choćby generał Jankowski! — ozwał się wódz augustowski — ma dwóch synów na nauce w Petersburgu. I od pół roku znaku życia! A tu zaraza, słyhać, grasuje cięższa niż u nas...

— W nielepszym położeniu jest pać Mozenheim.

— Fardon, Anetko! A Nesselrode, a Eszakow, a Richter a biedny Dyakow?

— Panna Rymbarska, której ślub był przeznaczony z kapitanem Jegorowem z kirasyerskiego pułku, dostała czarnej melankolii! — wtrąciła generałówna.

— Nie miała z czego! — burknął Sałacki.

— A nie generale — ujęła się pani Marchocka — serce bardzo często wypowiada posłuszeństwo zastanowieniu. Poryw jego nie zważa na względy, nawet patriotyczne, idzie na przeciwności za miłowaniem...

— Głupstwo wierutne! — zaciętrzewił się Sałacki. — Imć Rymbarska nie ma za tynfa rozsądku. Pstro w głowie, to sobie dobre!

Generałówna pobladła, usta jej mocowały się z odruchowym skurczem. Pani Bażanow pokiwała smutnie głową. Gospodyni próbowała zatrzeć wrażenie gwałtowności Sałackiego.

— A pan, pułkowniku, czy równie surowym jesteś sędzią?

— Na sędziego się nie piszę. Słowa generała mam za przypomnienie obowiązku, że w tych czasach, każdy ma ofiarę do poniesienia, że jeden na ołtarzu musi złożyć życie, drugi serce, trzeci trwogę, inny majątek...

— Otóż i sprawiedliwie! — ucieszył się szczerze generał. — Każdy musi, a to sobie dobre! Jak, panie, Napoljon pod tym... wszyscy musieli!

Rozmowa, po tej konkluzji generała, jęła toczyć się ospale. Pani Bażanow próbowała ożywić zebranie rozpowiadaniami historii ucieśnej bijatyki medyków Dworzaczka i Belangera. Pani Anna zagadywała o teatrze, o niezwykle poetycznej muzyce *Fra Diavola*. Sikorski prawil o przygotowaniach do bankietu gwardyi narodowej. A nuda i przymus, pomimo tylu rozlicznych tematów, nie dawała się wypędzić z altanki. Aż pani Marchocka, snąc dla zajęcia innych gości, w kilku słowach przedstawiła generałowi i pani Bażanow przygodę Bema z cyganiątkiem.

Sałacki zakrzyknął z tryumfem. Pani Bażanow wzruszyła ramionami.

— Generał odrazu by ją wieszać kazał...

— A to sobie dobre! Listy, pisma, sztuczki...

— Listy, listy! Uch, ważna rzecz. Takim szpiegiem więc ja pierwsza jestem, bo i ja pisuję listy...

Bem poruszył się niepewnie. Sikorski bawił się od niechęcenia łyżeczką.

— Ależ tu nie o takich listach mowa.

— Pardon, Anetko. Nie wiadomo! Ot będzie temu cztery dni, jak wysłałam na Kraków listy do obozu Pahlen. Górską je zabrała.

— Gdyby mościa panią złapano!

— Zlituj się generale, nie do obcych żadnych, lecz do swoich, do najbliższych!

— Prawo wojenne! Żeby moje, moje rodzone dziecko — sąd i basta! He, co, pułkowniku...

— Tego rodzaju korespondencja jest zawsze niebezpieczna.

— W sedno trafił! Zanim by mościa pani dowiodła, uczyliłoby się, jak pod tym... w roku, panie... „tymtam“... pluton, salwa i to sobie dobre! Trup!

— Przedstawiasz się generale sroższym, niż jesteś.

Sałacki posiniał.

— Rozkaz, stan obłężenia, wojna! Względy, są względy, ale niechby w moje ręce świstek bodaj! — Do kuma czyli do pociotka, do męża czyli do... do jakiego kirasyerskiego Adonisa — zdrada a na zdradę ołowianka!

Panna Sałacka pochyliła głowę i wybiegła z altanki. Generał bębnił z pasją po stole. Sikorski z panią Bażanow wysunął się za generałówną, gospodyni domu po chwili rzuciła zdawkowe usprawiedliwienie i również podążyła do dworku.

Sałacki łypnął znacząco oczyma ku Bemowi.

— Masz pułkownik z babami! Dogadaj się! Listy sobie pisze do obozu! A tu szpieg na szpiegu.

Bem, któremu otwarta, szczerza twarz Sałackiego coraz bardziej do serca przemawiała, odrzekł uspokajająco:

— Od pań nie podobna wymagać znajomości kodeksu wojennego!

— Myślisz, pułkowniku! Gdybyś codzień, co godzina miał toż samo! Uf! Desperacya istna! A czyja wina? Krukowieckiego, rządu, Skrzyneckiego! Zamiast, to sobie dobre, w garści, krótko, ostro tak i tak, tego i tego, oni panie przez szpary. A tu taka chodzi samopas i dziewczynę mi bałamuci.

— Pani Bażanow po swojemu bierze wypadki.

— Rozstrzelać powinni! — wybuchnął generał, przyczem w głosie tak głębokie zabrzmiało przekonanie, że Bem nie wiedział, co odpowiedzieć.

Sałacki tymczasem, miast umitygować się, pomstować zaczął na dobre na oficerów korpusu litewskiego, którzy mieli okrutnie wiele złego rodziom przyczynić, na niegodziwość panny Rymbarskiej, na śmieszność opiekowania się jeńcami, na



Z poza klombu bżów wysunęła się dorodna, choć może zbyt opiekła blondynka.

sprzedawczyków, co czają się na każdym kroku na zgubę rewolucyi, na niewdzięczność dzieci i na całego świata przewrotność niezmierną.

Pułkownik słuchał, upatrywał daremnie wtku dla narzekań generała, chciał zmienić przedmiot rozmowy — napróżno. Sałackiego zmora wewnętrzna szarpała, gryzła. Pułkownika ogarnęło uczucie przygnębiającego zmęczenia.

Gene ał długo jeszcze rozwodził się a wyrzekał, aż wyściskawszy gorąco ręce Bema, ja' o jedyne go człowieka, który go zrozumiał, nacisnął furazerkę i boczna furtką, nie żegnając się z paniami, wysunął się z obejścia dworku pani Marchockiej.

Mrok cichego, pięknego wieczoru czerwcowego zapadał — już fiolety półcieniów wypełniły zakątki altanki a pułkownik trwał jeszcze zamyślony, jakby zasluchany w echa ostatnich słów generała.

Naraz, krótki, nieśmiały apel słowika rozległ się w pobliżu.

Bem rozejrzał się dokoła, podniósł się i zafrasował, nie wiedząc, czyli mu należy iść za przykładem Sałackiego, czyli wypada czekać powrotu gospodyni.

Jakby w odpowiedzi na pytanie, kamuszczyki na ścieżce zachrobotały, niby tchnieniem zefiru orzeźwione. Na progu altanki ukazała się smągła, biała postać.

— Pan pułkownik! Ach, Boże, Boże, doprawdy nie wiem, jak prosić o przebaczenie...

— Ja raczej winienem... Nadużyłem łaskawości... Nie chciałem bez hołdu należnego...

— A nie, nie, proszę tak nie mówić! Śmiałość moja wynika z tego, że wydało mi się, że pan pułkownik jest dobrym, dobrym znajomym. Generał poszedł! Oryginał wielki. Marynia się rozchorowała...

— Panna Sałacka?

— Leży u mnie, biedaczka.

— Może to coś ciężkiego? Jestem gotów po lekarza!

— Niestety, pułkowniku, na jej cierpienie nie masz lekarstwa. Tragedya serca! Jedna z wielu dzisiaj tragedyi. Generał nic panu nie wspominał? — Ach, był dzisiaj w swej pasyi! Gdybym mogła przewidzieć, oszczędziłabym pułkownikowi przykrości! — Wiem, wiem! — Sałacki jest bezwzględny. — Marynia kocha... Ojciec dał właściwie swoje przyzwolenie. Kawaler do odny, adjutant przy sztabie generała Kuruty! — Wybuchła rewolucja! Generał w jednej chwili zmienił zdanie! Ani słuchać nie chce. Panna we łzach tonie! Cóż winna! A tu, co moment sceny bolesne, uwagi! — Rozumiem, stary żołnierzysko najpocziwszemi rządzi się intencjami. Wojnę by pragnął mieć na wszystkich punktach! Nie sądzę, bym pochwalała Marynię. Lecz nie każdemu dana jest moc spartańska. Ach nie sądzę pułkowniku, bym ją bronić zamierzała! Stokroć razy nie. W głębi ducha przyznaję nawet słusność ojcu i boleję, że w Maryni obowiązkiem, p omień święty miłości ojczyzny nie zwyciężył sentymentu dla adjutanta Kuruty. Ale cóż, widząc jej niedolę, tęsknotę, lzy...

Bem kilku wyrazami akkomodował się do zdania pani Marchockiej i do jej rączki się pochylił.

— Do zbytku nadużyłem gościnności pani dobrodziejki...

— Jakto — jakto? — zdziwił się smętnie harmonijny głosik — a ja akurat wyprawiam Sikorskiego, by panią Bażanow odprowadził! — Czy może służbowe sprawy?

— Nie służbowe, jeno, jeno... — płatał się Bem, czując, że mała, wypieszczona rączka pani Anny garnie się łaskawie do jego twardej, żyłastej dłoni.

— Więc niech waćpan zostanie! — naprzykrzyła się ze słodkim rozkapryśzeniem pani Anna.

Pułkownik został.

Noc zapadła, noc szafirami nieba zdobna, mrugająca krociami gwiazd.

Dworek pani Marchockiej poglądał w ciemną parkową otwartymi nasćieżaj drzwiami a bił przez nie strumieniem światła między klomby i zarośla, ku niemałemu poruszeniu ich skrzydlatych mieszkańców.

I trzepotały się spłoszone zięby, śmieciuchy i pliszki świergotały, wpółsenne skowronki, jaskółki wychylały swe łebki z gniazd a wróble na alarm niemal uderzyły. Aliści najsędziwszy pośród wróblej gromadki, drzemający w zaciszu konarów ulegalki, ocknął się, zaostrzył dzioba na gałązce, spojrzał bystro ku światłu, i cierknawszy surowo na piszczących smarkuli, łepkę pod skrzydło wsadził i chrapał.

Na takie wróbla sędziwego orzeczenie, uciszyło się i w koronach drzew i zaroślach i krzaczach. Stowik podfrunął na wyższą wtkę leszczyny i gardło nastroił... Napróżno.

W głębi dworku zabrzmiały ciche akordy a w ślad za nimi zadźwięczał melodyjny głosik niewieści. Zadźwięczał z początku niepewnie, głucho, aż wyrzawszy się do parku, strunami perlającej się na trawnikach rosy spłynął i echo odnalazł.

Czyli pamiętasz, mówił do żołnierza
Poważny Rotmistrz od znaku pancerza —

nucił coraz śmiejel głosik melodyjny.

W saloniku pani Marchockiej pułkownik Bem stał zaparty na klawikordzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).